

Kat. „16 lat i Osoby Dorosłe”

I miejsce: Leszek Jasiński

Godło: FALA

OSZCZEP I WIATR

Dlaczego Ziemia Łęborska jest nazywana Błękitną Krainą?

I

Przed wiekami w chłodnych wodach Bałtyku osiedlił się Gòsk. Nie znamy jego rodziców, wiemy tylko, że dzieciństwo i młodość spędził w dużo cieplejszych wodach Morza Śródziemnego. Zaczął w nich właśnie panować Posejdon. Przegrał on rywalizację z braćmi, Zeusem i Hadesem, o to, kto jaką częścią świata będzie rządzić. Zeus okazał się władcą lądu, Hades panem podziemia, a Posejdon suwerenem mórz.

Małym Gòskiem opiekował się więc Posejdon. Dzięki niemu młody człowiek poznawał tajemnice podmorskiej głębin oraz napatrzył się na greckich bogów i herosów, na ich odwagę i tchórzostwo, na odpowiedzialność za poddanych im ludzi i bez troskę o ich losy, na ich urodę, dostojność i słabość.

Na całe życie Gòsk zapamiętał ogromny, podwodny pałac Posejdona, otoczony przez nimfy, delfiny oraz hippokampy, czyli jednocześnie półkonie i półtryby. Po latach Jan Parandowski pisał w *Mitologii*, że siedzibę władcy mórz wieńczył dach w kształcie muszli wypełnionej perłami. Jej okna zbudowano z bursztynu, ściany tonęły w kwiatach. Podwodny pałac był koloru błękitnego.

II

Posejdon nie chciał dzielić się z nikim władzą w podwodnym, śródziemnomorskim królestwie. Niektórzy sądzili, że uczyni Gòska zarządcą zachodniej części potężnego morza sięgającego Rzymu, a sam zadowolił się częścią wschodnią, otaczającą ziemie Grecji. Zatrzymał jednak dla siebie całe Morze Śródziemne. Jego zachłanność kryła się na zachodzie pod imieniem Neptun, którego używał jako władca wód opływających rosnący w siłę Rzym. Młody Gòsk poczuł się niepotrzebny, zagubiony i postanowił opuścić pałac morskiego boga i króla.

Udał się, a właściwie wypłynął, na północ. Szybko minął obrzeża potężnego akwenu zwanego Atlantykiem, nie wystraszyły go gwałtowne burze w Zatoce Biskajskiej, sprawnie przemierzył wąski kanał rozdzielający dwa bezludne lądy, w naszych czasach znany jako La Manche, i skierował się na rozhuśtane przez fale Morze Północne. Zaczął wtedy zastanawiać się, czy ruszyć dalej na północ, czy na wschód? Czy w stronę głębokich zatok wcinających się w ląd i otoczonych przez skały, czyli fiordów, czy też tam, gdzie brzegi są płaskie i

piaszczyste. Wybrał kierunek wschodni, gdyż sądził, że brzeg morski jest wyłożony bursztynem, jaki znał dobrze z pałacu Posejdona. Kiedy zrozumiał pomyłkę, nie chciał już szukać dla siebie innego miejsca. Pozostał na Bałtyku.

III

Gòsk szybko polubił morze o niskim zasoleniu, o falach krótkich i stromych, którego wody zimą były skute lodem tylko na północy. Jako mieszkaniec podmorskiej głębiny okazał się bardzo aktywny.

Początkowo wybrał dla siebie Ławicę Słupską. Obfitowała ona w krasnorosty, omułki, skorupiaki, a także w ryby: głównie turboty i dorsze. Przez cały rok odwiedzały ją mewy, nie czuł się więc samotny. Ławica Słupska zapewniała mu obfitość pożywienia, była jednak płytka. Dlatego swój pałac na dnie Bałtyku Gòsk umieścił ostatecznie nieco na wschód od Ławicy, na trawersie dzisiejszej Łeby. Wody były tam głębsze, łatwiej było schować się przed niechcianymi gośćmi i, jak sądził, wygodniej będzie sprawować rządy nad Bałtykiem.

Gdy był niezadowolony, pojawiał się na morzu sztorm. Wysokie fale uderzały w statki handlowe i łodzie rybackie, biły o brzeg z wielką siłą, a ich huk dał się słyszeć w głębi lądu. Biada wtedy śmiałkom wypływającym w morze, biada też tym, co akurat odważyli się w nim się kąpać. Gòsk potrafił też skierować silny, suchy wiatr w stronę lądu, odczuwany daleko od morskiego brzegu. Jego podmuchy uszkadzały dachy ludzkich domostw i przewracały drzewa. Powodowały straty podobne do wyrządzanych na Podhalu przez wiatr hałny.

Kiedy natomiast Gòsk był zadowolony, gdy odpoczywał lub spał, wiatr cichł, morze stawało się spokojne, fale traciły wysokość, a ludzie i ptaki mogli zasnąć lub rozpocząć bez obaw morskie wyprawy po ryby, jeśli tylko byli akurat głodni. Mówiono nawet, że ile razy dobrze się wyspał i przebudził zadowolony, zawsze pomagał żeglarzom, zwłaszcza zagubionym i niedoświadczonym, trafić na wielką rybę, a potem krótką drogą powrócić do portu.

Po wiekach pamiętano dobrze jego nierzadką życzliwość i zapominano chwile, gdy wpadał w złość. Pozwoliło mu to, po wielu, wielu latach, stać się kluczową postacią kaszubskiej mitologii.

Gòsk niechętnie przemieszczał się po Bałtyku. Czuł się świetnie w pałacu ze ścianami koloru bursztynu i z karmazynowym dachem. Pewnie dlatego nie od razu zorientował się, że w morskich wodach nie mieszka sam, że są w Bałtyku inni domownicy, niespotkani przez niego wcześniej w odległym królestwie Posejdona.

IV

We wschodniej części Bałtyku mieszkała Jurata. Tak samo jak Posejdon i Gòsk miała podwodny pałac. Mówiono, że jest litewską boginią morza, bo też wzięła imię od litewskiego słowa *jūra* oznaczającego morze. Przebywała nie tylko u brzegów Litwy. Dopływała, a nawet wchodziła na ląd na półwyspie nazwanym później helskim. Jego mieszkańcy nie byli Litwinami. Nawiązała z nimi przyjazne więzi, a oni - zachwyceni jej urodą i życzliwością - użyli jej imienia na oznaczenie jednej ze swych osad.

Jurata była postacią uczuciową i zdecydowaną. Zakochała się w prostym, wytrwałym rybaku, co zbudziło gniew gromowładnego Perkuna, który mieszkał na lądzie, w puszczy, wśród rozłożystych dębów. Jurata oparła się wzburzeniu groźnego boga ognia. Zachowała królestwo, którego nieocenionym skarbem stał się bursztyn: kamień, który potrafi się palić.

Na północy Bałtyku królował Njörd. Był nordyckim bogiem mórz, żeglarzy, rybaków i kupców. Mieszkał na lądzie w nadmorskim pałacu o nazwie Noatun. Chociaż był niezwykle potężny, ożenił się nieszczęśliwie z olbrzymką o imieniu Skaldi. Ona chciała mieszkać w górach, on nad morzem. W ich życiu pojawiła się niemała zawilość. Markotny Njörd stał się samotny i od tej pory bardzo nie lubił, gdy ktoś podpływał do jego pałacu. Gòsk nie szukał z nim kontaktu.

Zachodnią część Bałtyku wzięła we władanie Sedina. Uważano ją za uosobienie piękna morza i symbol pomyślności handlu. Jej życie układało się bardziej udanie niż sąsiadów na wschodzie i północy: nie było słychać o kłopotach jej serca.

Chętnie opowiadano natomiast o wspaniałym i bogatym grodzie - Winecie. Dokładnie nie wiadomo, gdzie się znajdował, zapewne nad cieśniną Dziwna oddzielającą ląd od wyspy Wolin. Wineta zatонуła w morskich odmętach i od tego czasu jedynie raz w roku, w sobótkową noc Święta Słońca, wypływała na krótko na powierzchnię. Mówiono, że odważny żeglarz, który do niej dotrze i pokona stwory czyhające na śmiałków, zdobędzie ogromny skarb.

Gòsk rejestrował te wiadomości nie bez niepokoju. Zrozumiał, że ma sąsiadów, którzy starannie pilnują swoich morskich domen, że nie wszystko tu należy do niego. Uświadomił sobie, że są to postacie o gorących duszach niewolnych od cierpienia. Pogodził się z tym, że nie on odnajdzie skarb w zatopionej Winecie. I rzeczywiście, po wiekach uczynił to dzielny odkrywca, opisany przez Feliksa Nowowiejskiego w operze *Legenda Bałtyku*.

Jak więc Gòsk miał sobie radzić na niedużym wycinku Bałtyku i w pałacu położonym na wschód od Ławicy Słupskiej? Jego dusza, tak samo jak jego podwodnych sąsiadów, była gorąca!

Postanowił zejść na ląd. Dotarł do miejsca opodal ujścia rzeki Łeby do morza. Stanął na rozległej plaży, której granicę wyznaczała usypana przez wiatr wydma. Za nią rozciągał się gęsty, sosnowy las. Uznał to za dobrą wróżbę, wszak sosna uchodziła za święte drzewo Posejdona. Miejscowe sosny były dużo wyższe i bardziej proste niż ich greckie siostry. Ucieszyło go to dodatkowo.

Już na plaży spotkał pierwszego człowieka. Nieznajomy zupełnie nie rozumiał jego mowy, ale zachowywał się przyjaźnie. Gòsk próbował mu przedstawić się. Wypowiadał swe imię kilkakrotnie, gdyż napotkany nie potrafił poprawnie je powtórzyć. W końcu nazwał siebie Neptunem. To słowo okazało się dla tubylcy łatwiejsze do wymówienia. Okazał radość z przybycia niezwykle gościa, który - rośły i potężny - wyglądał jak przystało na pana morza.

Na pamiątkę tego spotkania wiele wieków później nazwano „Neptunem” duży, reprezentacyjny hotel zbudowany na łebskiej plaży. Pomimo upływu lat w dalszym ciągu mało kto z mieszkańców Łeby i turystów potrafi poprawnie wymówić słowo Gòsk jako glesk. Tworząca je pojedyncza sylaba musi zostać poddana typowej dla Kaszubów labializacji, co wymaga odpowiedniego zaokrąglenia warg.

Człowiek, który spotkał na plaży morskiego władcę, zaprosił go do domu i ugościł dorszem. Było to skromne domostwo nad małą rzeczką Chelst, łączącą dwa duże jeziora zwane później Łebskiem i Sarbskiem. W sąsiedztwie zagrody mieszkało niewiele osób. Wszyscy byli rybakami wypływającymi na morze i jeziora. Każdy miał wokół domu niewielki ogród warzywny. Nikt nie znał języka zrozumiałego dla Gòska, porozumiewano się więc na migi.

Monarcha bałtyckich wód przespał się u napotkanego gospodarza, podziękował w swoim języku za gościnę, schylił uprzejmie głowę, chociaż sam był przecież królem, i ruszył dalej, na południe. Postanowił przekonać się, jak wygląda nieznana mu lądowa kraina.

VI

Początkowo siedł przez rozległą, pustą równinę. Niewiele było tu drzew, brakowało lasów, nie było widać ludzkich osad. Widocznie cała miejscowa ludność skupiła się blisko morza i dwóch potężnych przybrzeżnych jezior. Gòsk sięgał bardzo daleko wzrokiem na lewo i prawo: wszędzie teren był płaski, otwarty i bezludny.

Szedł dalej. Po pewnym czasie napotkał sosnowe lasy, usłyszał śpiew ptaków, zauważył na ziemi ślady zwierząt. Kiedy poczuł zmęczenie, a nie był przyzwyczajony do chodzenia, przecież na co dzień poruszał się pływając, pojawiły się niewielkie, łagodne wzgórza. Dzisiaj nazywa się je morenowymi lub polodowcowymi, takiej wiedzy o przeszłości świata mieszkaniac podwodnego pałacu nie posiadał. Wzgórza były częściowo porośnięte lasami,

gdzieniegdzie ich zbocza zostały zamienione na pola; rosły na nich zboża i ziemniaki. Gòsk znał zboża ze swych młodzieńczych czasów w Grecji, natomiast ziemniaki były dla niego czymś nowym.

Przyglądał się im z dużym zainteresowaniem. Gruba, mięsista łodyga, osadzone na wspólnym ogonku liście, drobne, białe kwiaty z żółtą, dyskretną koroną. No i rosnąca pod ziemią bulwa. Owalna, lekko żółta, pokryta gęstą, cienką skórką, twarda, pozbawiona zapachu.

- Po co ludzie to sądzą? - zastanawiał się Gòsk. - Czy to się je? Może te bulwy służą do pielęgnacji ciała? Przypominają mydło. Po oczyszczeniu z ziemi będą łagodne dla skóry i da się je delikatnie przesuwac po jej powierzchni. Muszą to wypróbować śródziemnomorskie nimfy, może nawet Afrodyta. Ciekawe, czy zna je przepiękna Jurata i niemal równie piękna jak ona Sedina?

Władca podwodnej krainy nie wiedział, że kartofle można upiec w ognisku. Potrafił skrzesać ogień. Ci, co żyli w podwodnej głębinie, atakowali czasem siebie nawzajem przy pomocy grzmotów i piorunów. Pożary zdarzały się na morzu i pod jego powierzchnią.

Na kolację Gòsk zatrzymał się u stóp wzgórza o łagodnym, długim zboczu, w miejscu zwanym dzisiaj Charbrowo. Zjadł duży kawałek suszonego dorsza, jaki dostał od mieszkańców północnej osady.

A potem długo patrzył na niebo pełne gwiazd, których konstelacje układały się w roziskrzane ornamenty oraz w lśniące, rozwinięte wysoko nad ziemią dywany. Dopelnieniem błyszczących gwiazdozbiorów był zawieszony gdzieś w odległej przestrzeni, jaśniejący księżyc. Gòsk wypatrzył też przesuwającą się wolno kometę, zostawiającą za sobą na niebie długi, gazowy warkocz. Obserwując ją uśmiechał się i uznał, że przyniesie mu szczęście. Na koniec najedzony, zmęczony, przytłoczony wrażeniami na lądzie zasnął.

VII

Wypoczęty i wyspany udał się w dalszą drogę. Chwilami przypominała ona wędrówkę po pomorskiej ziemi zaradnego śmiałka, beztroskiego bohatera powieści Aleksandra Majkowskiego *Życie i przygody Remusa*. Ziemia oglądana z ładu podobała się Gòskowi dużo bardziej niż kiedy oglądał ją z wody.

- Nigdzie nie widać ludzi - zauważył rozglądając się na wszystkie boki. - A przecież znalazłem pole obsiane zbożem i tymi dziwnymi roślinami o dużych bulwach. Ktoś musiał je posadzić.

Rzeczywiście, od chwili opuszczenia nadmorskiej osady pan na Bałtyku nie spotkał nikogo. Uprawa roślin świadczyła dobitnie, że jacyś ludzie w tych okolicach żyli.

Szedł dalej. Wdrapywał się na kolejne wzgórza i schodził lub zbiegał z nich w dół. Wreszcie na szczycie rozległego, wielobocznego wzniesienia, tam, gdzie dzisiaj wznosi się Białogarda, dostrzegł domy i dymy uchodzące z kominów. Podeszedł bliżej. Postanowił spotkać się z mieszkańcami.

Został przyjęty przyjaźnie, ale znowu z nikim nie był w stanie się porozumieć. Brakowało wspólnego języka. Miał jednak teraz więcej szczęścia niż nad rzeką Chelst. Wśród białogardzian znalazł się jednak ktoś, kto znał grekę. Był to dawny mieszkaniec Atlantyd. Na tej rozległej wyspie, położonej gdzieś na Oceanie Atlantyckim, za Słupami Herkulesa, zajmował się on handlem i wypływał do dalekich portów, również na Bałtyk. Pewnego razu poznał tu niezwyklej urody i charakteru dziewczynę, zakochał się w niej, ożenił się i zamieszkał z nią w osadzie położonej dzień drogi od morza. Dzięki małżeństwu nie dane mu było przeżyć trzęsienie ziemi i zatopienie Atlantyd przez rozszalałe, morskie fale.

Gòsk dowiedział się od niego jakich spotkał ludzi, w jakich żyją warunkach, co ich cieszy i trapi. Zrozumiał, że dotarł do krainy żyznej ziemi, bogatych w zwierza lasów, a przede wszystkim ludzi spokojnych, życzliwych i pracowitych. Była to ziemia bogata i przyjazna, chociaż, inaczej niż na Atlantydzie, pozbawiona szlachetnych metali, budzących zachwyty diamentów, rzadkich gatunków drewna i niespotykanych gdzie indziej ziół.

Jak wszędzie na świecie, tutejsi mieszkańcy mieli życiowe kłopoty. Gòsk dowiedział się, że utrudniał im życie powracający silny wiatr od morza, zbyt mało padało deszczu, a przede wszystkim grasowały stolem.

- Wiatr to moja sprawa. Jak dmucham wystawiając głowę nad powierzchnię morza, robię to na całego. Taki już jestem. Muszę zacząć się kontrolować. Na brak deszczu nic nie poradzę. Ale stolem? - zdziwił się Gòsk. - Co to takiego? Nigdy nie słyszałem tego słowa.

VIII

- Stolem. Właśnie stolem. Nie wiesz, Gòsku, kto to taki? - na mieszkańca podwodnego pałacu patrzył z uwagą przybysz z Atlantyd. - Są to olbrzymy, które spacerują po naszej ziemi, urządzają sobie zawody, niszczą cudzą własność, wywołują strach, są złośliwe, popisują się siłą i psują, co napotkają. Są głupie i brzydkie. Lepiej nie wchodzić im w drogę. Boimy się, że nas pobiją. Przed każdym wielkoludem trzeba uciekać, zwłaszcza przed stolem.

- Idąc od morza nie spotkałem żadnego olbrzyma - zauważył Gòsk.

- Bo one mieszkają nie tutaj, tylko tam, dalej - rozmówca wskazał ręką kierunek wschodni. - Najwięcej jest ich wokół długiego, wąskiego jeziora. Ono jest tam. Obok wzgórz i dużej puszczy. Co pewien czas stolem do nas przychodzą, a wtedy panoszą się niemiłosiernie i grasują.

Nikt nie posługiwał się wtedy nazwami współczesnymi: Jezioro Żarnowieckie, Wysoczyzna Żarnowiecka i Puszcza Wierchucińska.

- Boimy się, że pojawią się znowu - osadnik z odległej wyspy patrzył z niepokojem na Gòska. Wypowiadał zdania szybko, gestykulował rękami, nie krył obaw. - Dawno stołomów u nas nie było. Wszyscy więc myślą, że niedługo zobaczymy ich znowu. W naszej osadzie, największej w całej okolicy, trwa cisza przed burzą.

- A czy macie sygnały, że zamierzają tu przybyć?

- Tak. Niedaleko stąd pojawiło się mnóstwo potężnych kamieni- odpowiedział atlantyda.

IX

- Kamieni? - zapytał Gòsk. - A co w tym dziwnego? Idąc do was od morza natrafiłem na wiele kamieni. Większych i mniejszych. Co z tego?

- Naszych kamieni, tych między naszą osadą a siedliskiem stołomów, wcześniej nie było. Niektóre są tak wielkie, że żaden człowiek ich nie podniesie i nie przesunie. Nawet na małą odległość. Są ogromne - zapewniał z przekonaniem chyba ostatni potomek z Atlantydy, wyspy zatopionej, ale przez wszystkich ciągle pamiętanej. - Ludzie nie daliby rady ruszyć je z miejsca. Takie są ogromniaste. Musiały zatargać je stołomy.

Gòsk pokiwał głową. Uznał, że rzeczywiście dzieje się coś dziwnego.

- Ale do czego stołomom potrzebne są głazy? - zapytał.

- Chcą nas przestraszyć. Chcą by opanował nas strach, kiedy tutaj się pojawią - jedyny mieszkaniec osady zdolny porozumieć się z przybyszem wykrzykiwał słowa. Po chwili, zmęczony, je wysapywał. - Pół dnia drogi stąd jest największy z nich. Niczego podobnego wcześniej nie widzieliśmy.

Ta potężna skała znajduje się w okolicy Kisewa do dzisiaj. Niesłusznie nazywa się ją Kamieniem Diabelskim. W przewodnikach dla turystów piszą obecnie, także nietrafnie, że ten monstrualny kamień poczuł w bucie pewien gigantyczny stołom. Kiedy wy dobył go, rzucił ze złością o ziemię. Stołomy były niewątpliwie duże, ale nie aż tak wielkie. Owszem, to one wszystko spowodowały. Przytargały otoczek w to miejsce, musiały więc być ogromnej siły i budowy, ale nie aż tak wyrosnięte i mocarne, by ów Diabelski Kamień zmieścił się jednemu z nich w bucie.

Kolejny Diabelski Kamień znajduje się koło Ogardowa, dzień drogi na piechotę na wschód od Kisewa. To także jest robota stołomów, bo nie jakiś diablów, czy ich złośliwego kumpla, mało przyjaznego ludziom Smętka. Jaki ów Smętek był, nie jest do końca wiadomo. Żle pisał o nim Stefan Żeromski w *Wietrze od morza*, dużo lepiej ksiądz Bernard Sychta w *Śpiącym wojsku* i Lech Bądkowski w *Sądzie ostatecznym*. W każdym razie Diabelskich Kamieni jest na Kaszubach i Pomorzu więcej. Tak naprawdę są to kamienie stołomowe.

X

Gòsk przyglądał się z uwagą mieszkańcom osady. Była położona na wyniesieniu górującym nad krainą pokrytą polami, pastwiskami i lasami, przecinaną z rzadka przez kręte strumienie, strugi i potoki, ozdobioną wijącą się majestatycznie rzeką, którą my dzisiaj znamy jako Łebę. Była to ziemia piękna, czasami równinna, często pofałdowana, pełna spokoju, ani trochę monotonna.

Jego rozmówcy byli wyraźnie zdenerwowani. Przystawali często na krańcach grodziska i wpatrywali się w dal. Gdy wracali do domów na nocleg, spoglądali na siebie poważnie, bez słów, a potem ze smutkiem spuszczały głowy. Wpatrywali stołomów.

Wobec Gòska byli gościnni. Nauczyli go gotować i piec w ogniu ziemniaki. Zaznajomili z warzywami, owocami i pieczywem. Szybko polubił on marchewkę i ogórki, a na deser leśne jagody i poziomki. Wszystko to było dla niego nowością. W morskiej topieli przyzwyczał się jeść dorsze, śledzie, szproty, płocie, makrele i węgorzyce. Rybne dania uzupełniały mu morskie rośliny: chełbie, obelie, stułbie i żeropławy. W Bałtyku fauna i flora były bogate, ale nie przebogate. W jego wodach brakowało, na przykład, światowego przysmaku: ośmiornic.

Dopełnieniem menu Gòska stało się mięso leśnych zwierząt: saren, dzików, zajęcy, dropi, głuszców i cietrzewi. Dla mężczyzny przebywającego stale na dnie morza ląd przedstawiał sobą rozległą paletę nowych smakołyków i pyszności. Już w tamtych czasach nadmorskie tereny dorzecza Łeby tworzyły królestwo leśnych ssaków i ptaków, z którego bogactwa białogardzianie korzystali racjonalnie, w najlepszy możliwy sposób.

Radości śniadania, obiadu i kolacji psuły niekończące się obawy przed stołomami. Czuli się mało skrywane zagrożenie. Pytano nie, czy one w ogóle przyjdą, ale kiedy się pojawią?

XI

Gòsk postanowił coś zdziałać. Był wszak wychowankiem boga morza, wytrwałego Posejdona, znał dobrze pana nad panami, gromowładnego Zeusa, spotykał się na kartach i filizance ambrozji z piękną, energiczną i inteligentną Afrodytą, raz nawet został przedstawiony bogowi wojny, odważnemu Aresowi. Usłyszał od niego o potrzebie bohaterstwa i opanowania gniewu, o wytrwałości i przebiegłości w boju.

Aresa uważano za boga wojny zaborczej, a taką prowadziły stołom. Gòsk znalazł się wśród obrońców własnych domów, pól i lasów, wśród prowadzących wojnę przeciwko napastnikowi. Walczącym w słusznej sprawie sprzyjała Atena. Co ona kazała swym poddanym pamiętać i praktykować?

- Co wymyślić z tymi stolemami? - długo się zastanawiał. - O czym mówiła mi Atena? - chodził tam i z powrotem, drapał się po głowie i intensywnie myślał.

W końcu wykrzyknął słowo *eureka*, co po grecku znaczy *znalazłem*. Taki okrzyk wydał grecki mędrzec Archimedes, który długo nad czymś się zastanawiał, podobnie jak potem Gòsk, i w końcu nagi wybiegł z łaźni. Wrzeszczał na całą ulicę, że odnalazł, że wymyślił prawo o ciałach zanurzonych w wodzie, będące od tej pory postrachem dla usiłujących je zrozumieć i zapamiętać uczniów wszystkich szkół na świecie.

W dobrym nastroju Gòsk zasiadł do kolacji. Zjadł duży i soczysty udziec sarni z marchewką i ogórkami. Na deser zażądał bukietu malin, jeżyn, borówek, tarniny, jarzębiny, głogu i żurawiny. Najedzony zwołał zebranie najważniejszych osób w osadzie. Mężczyźni rozmawiali długo, bez świadków, cicho wypowiadając słowa.

XII

Mieszkańcy osady na wysokim grodzisku zaczęli przemieszczać się w miejsce położone na równinie. Znajdowało się ono pół dnia marszu z Białogardy na południe. Najpierw trzeba tam było iść przez pola i łąki, potem przez gęsty las. Na czas zagrożenia przez stolemy wszyscy przesiedli się blisko ujścia do rzeki Łeby, królowej tutejszej ziemi, dużo od niej węższej i krótszej rzeki-księżniczki, o której mówi się dzisiaj Okalica. Było to miejsce zaciszne, położone w rozległej pradolinie z szerokim dnem, którą zapewne w okresie cofania się lodowca wypełniała potężna rzeka.

Nowa osada znajdowała się na wielkiej polanie otoczonej przez potężny las. Przez dorodne, smukłe sosny, znacznie wyższe od stolemów, przez niezbyt wysokie, ale szeroko rozgałęzione buki, przez rosłe, tryskające swą mocą dęby, przez dopiero zapowiadające przyszłą potęgę dębczaki oraz przez rachityczne, jakby nieśmiałe brzozy, przyciągające wzrok przechodniów cienką, białą korą.

Wybrano miejsce z dostępem do czystej wody, sąsiadujące z ogromnym rozlewiskiem, przez które przedostać się nie byłoby łatwo nawet stolemom. Rozciągało się ono u stóp średnich rozmiarów wzniesienia, dzisiaj nazywanego Czartoryja. Była to jedyna w bliskiej okolicy wysoczyzna, wszędzie indziej rozciągała się porośnięta puszcza równina.

Na wyborze miejsca zaważyły rady Gòska. Sugerował oddalenie się od dotychczasowego siedziska, wybór nowego osiedla na terenie równym, bo nie na szczycie góry, oraz bliskość pojedynczego wzniesienia, które - jak mówił - w nadchodzącej rozgrywce z wielkoludami okaże się przydatne.

W miejscu, gdzie znajdował się stary gród, w Białogardzie, pozostał sam. Zaopatrzonego w jedzenie. Wiedział już, jak piecze się ziemniaki, dostał trochę dziczyzny, marchewki, ogórków i, co było dla niego nowością, bobu. Wypadało tylko czekać. Cierpliwie czekać.

XIII

Wreszcie pojawili się. Gòsk wypatrzył ich siedząc na najwyższym drzewie. Byli jeszcze daleko. Do osady zbliżali się powoli. Byli potężni, ale dużo mniejsi od smukłych, tutejszych sosen, wzrostem i budową ciała zbliżeni do rozłożystych wierzb o pokroju płaczącym. Nie były to jednak istoty, które płaczą. Nie spieszyli się do Białogardy. Trochę posuwali się do przodu, trochę kręcili wokół siebie, nierzadko rozglądali się na boki. Wymachiwali rękami, uderzali nogami w nieduże drzewa łamiąc ich delikatne pnie.

Gòsk zaobserwował, że są ich trzy rodzaje. Jedni byli prawie nagi, mieli jedynie na biodrach przepaski z liści, a na głowach wieńce. W rękach trzymali maczugi, którymi na wszystkie strony przecinali powietrze. Drudzy byli ubrani w odzież w zasadzie kompletną, ale pełną dziur i rozdarć, może nawet wykonanych w sztuczny sposób. Ich koszule w jaskrawych kolorach, wypuszczone na spodnie, były wyraźnie za duże. Każdy miał na szyi bardzo długi szalik, który powiewał swobodnie na wietrze. Uzbrojeni byli w kije, którymi pokazywali sobie kierunek marszu: wzgórze, z którego patrzył na nich Gòsk. Trzeci włożyli na siebie ubranie ściśle dopasowane do ciała. Było ono w jednolitym kolorze, granatowym lub brązowym. Zrobiono je zapewne ze skóry, w jakiś sposób wyprawionej, umiejętnie skrojonej i zszytej. Stolemy trzeciego rodzaju nieśli w rękach kamienie.

- Wreszcie są - pomyślał Gòsk. - Prymitywni, nonszalancy i sztywni. Z maczugami, kijami i kamieniami. A przede wszystkim nie tacy wysocy, potężni i silni. Nie są to znani mi z Grecji giganci, tytani i hekatonchejrowie, sprawcy trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów, z którymi bogowie olimpijscy toczyli walki zwane gigantomachią. To są zupełnie inne kreatury. Jakież łajzy, łazęgi, łapserdaki i łachudry.

Gòsk pokiwał głową. Nieznacznie uśmiechnął się. Nie odczuwał strachu.

- Ilu ich jest? Chyba piętnastu. Z takimi stolemami poradzę sobie sam. Nie będę wzywać na pomoc z dalekiej Grecji walecznego Heraklesa.

XIV

Krok po kroku, kręcąc się bez przerwy w te i we wte, zbliżali się do wzgórza należącego dzisiaj do Białogardy. U jego podnóża znajdowały się stodoły, obory, chlewnie i kurniki. Teraz były puste, gdyż mieszkańcy przenieśli się w nowe miejsce z całym dobytkiem. Stolemy swymi narzędziami walki rozbijali ściany drewnianych budynków, dziurawili dachy, rozrzucaли resztki słomy i siana, a gdy uznali, że dewastacji stało się zadość, podpalili to, co pozostało z budynków gospodarskich.

- Ciekawe, czy pomyślą, dlaczego w zagrodach nie ma krów i świń - zastanawiał się Gòsk. - Czy ich współczynnik inteligencji jest dostatecznie wysoki, by ten brak zauważyć? Którzy są najbardziej kumaci? Ci od maczug i przepasek, od dziurawych szalików i kijów, czy kamieniarze w skórach? Chyba wszyscy sobie jednacy!

Każdy z nich tłukł i dziurawił, co było pod ręką. Używał do tego, co tylko schwycił w swej mamuciej ręce. Robił to z równą intensywnością i zaciekłością, co koledzy. Towarzystwo starannie dobrane.

Widok niszczonych zabudowań musiał budzić smutek. Gòsk zachowywał jednak spokój i cieszył się, że tubylcy nie oglądają, jak znika to, co budowali przez lata i co było im niezbędne do życia. Wychowanek greckich bogów, obeznany z żywiołami powierzchni morza i podwodnych głębin, znawca tradycji ateńskiego i spartańskiego oręża, przyglądał się najazdowi niechcianych przybyszów z dużą cierpliwością. Miał minę godną antycznego wodza, chociaż nie było wokół niego żołnierzy i podwładnych, hoplitów i periojków. Był sam.

Stolemy, zostawiając za sobą palące się stodoły i obory, zaczęli wdrapywać się na wzgórze. Tam znajdowała się mieszkalna część osady. Nie szło im to sprawnie. Ci z przepaskami podpierali się maczugami i powoli, sapiąc, włączili do góry. Elegancy szalikowcy łamali kije, często przestawali dla odpoczynku, sygnalizowali wysiłek wymachując rękami. Wyglądało to trochę, jakby wokół ciała urosły im skrzydła wiatraków. Ponurzy posiadacze ubrań ze skór odrzucali obciążające ich kamienie, szli do góry krok po kroku, mrużyli oczy i z uporem patrzyli naprzód, ukrywając starannie, że dyszą ze zmęczenia.

A Gòsk ze spokojem rozglądał się ciągle to na lewo, to na prawo. Cały czas był spokojny. Bardzo spokojny.

XV

Wiedział, że nadeszła chwila pokazać, co potrafi. Trzeba oduczyć stolemy chuligaństwa i niepokojenia pracowitych ludzi raz na zawsze. Albo przynajmniej na ruski miesiąc. Swe morskie, przepastne moce Gòsk postanowił uruchomić na lądzie.

Stanął na szczycie zbocza góry, na którą wspinali się mało poradni, pewni siebie, nieproszeni przybysze. Rozłożył ręce, otworzył szeroko usta, uniósł głowę i wyteżył wzrok. I wtedy wciągnął w głąb płuc potworną masę powietrza, by po krótkiej chwili wysłać ją przed siebie jako wielki ładunek swego niezmierzonego, niezgłębitego ducha. Zadrżał cały burząc kryjący ziemię bezruch. I zagrzmiął wokół przedziwną, mocarną muzyką, utrzymującą długo stałą wysokość i najwyższe tempo *prestissimo*.

Poryw wiatru uderzył we wszystko, co napotkał na drodze. Zgasił pożar pod Białogardą, zatrząsł zbożem na polu, poruszył wszystkie drzewa w okolicznych lasach, przestraszył ptaki

i zwierzynę leśną, dotarł do ujścia Okalicy do Łeby i zamarł dopiero daleko na południu, blisko Żelazińskiej Góry. Nie wyrządził krzywdy koczującym białogardzianom. Przed gwałtowną falą ciepłego, suchego powietrza osłoniła ich jedyna w tym miejscu, sporych rozmiarów góra Czartoryja.

Gòsk zadał znowu. I raz jeszcze. I raz kolejny. Wszędzie było słychać przeraźliwy świst powietrza. Czuć było, jak gwałtownie się przemieszcza, jak czyni to niczym w trakcie burzy. Chociaż nie było błyskawic i grzmotów ruch powietrza nabrał prędkości, jakiej w tej krainie nie osiągnął nigdy dotąd. Drgało wszystko, co znalazło się na jego drodze. Kołysały się gałęzie drzew, zginały łodygi krzewów. Natura porzuciła stan równowagi. Zastąpił go stan wichru i naporu.

XVI

Fala uderzeniowa zadała niesamowity cios bezładnym, prącym w górę stolemom. W pierwszej chwili próbowali oni przywrzeć do ziemi, chwyтали się krzaków i trawy, ci najbardziej prymitywni nadstawiali napływającemu powietrzu maczugi. Wszystko na próżno. Wicher, porównywalny tylko z huraganem na Atlantyku i z tajfunem na Pacyfiku, spychał ich w dół na łeb, na szyję oraz na plecy z przyległościami. Nie można było mu się oprzeć.

Nikt na zboczu wzgórza się nie ostał. Nikt nie zatrzymał się, nie schował się w jakiejś szczelinie lub rozpadlisku. Stolemy spadali w dół tak szybko, że nie mieli czasu wydać okrzyk na znak strachu i bólu.

Nie kończyło się na lądowaniu u nasady wzgórza. Gòsk dmuchał wielokrotnie i drogą powietrzną przenosił stolemy dalej i dalej, aż gdzieś nad granicę obecnych powiatów wejherowskiego i puckiego. Wielkoludy to unosiły się nad ziemią, to na nią opadały, inkasując na plecach i w ich bliskości kolejne raty wymierzonej im sprawiedliwej kary za napady i zniszczenia. Kiedy zdruzgotane wreszcie zatrzymały się, wlokły się do Jeziora Żarnowieckiego, by wymoczyć w wodzie obolałe ciała.

Gòsk w końcu zasapał się i przestał dmuchać. Kraina rzeki Łeby była już wolna od zbójców. Epoka najazdów wojowniczych stworów skończyła się. Nie do końca.

XVII

Wiatr poniósł jednego ze stolemów daleko na południe, inaczej niż jego kompanów, którzy frunęli na wschód. Opadł on na ziemię w miejscu nazywanym dzisiaj Czarne Bagno. Jest to położone niedaleko Nowej Wsi Lęborskiej mokradło z twardym dnem, mówiąc językiem fachowym torfowisko wysokie typu bałtyckiego. Stolem potłukł się co nie miara,

ale po kilku godzinach pisków i jęków odzyskał werwę, stanął na nogi i ciągle czując ból w kościach ślamazarnie ruszył w drogę.

Był to jeden ze stołmów-elegantów, tych od powiewających na wietrze szalików. W gruncie rzeczy był cichym złodziejem, ukrywającym swą namiętność przed kolegami. Kiedy wszyscy w mozole wspinali się na górę w Białogardzie, pewien stołem prymitywny zgubił zielony wieniec, jaki nosił na głowie. Dla takiego stwora był on rzeczą niezwykle cenną. Złodziejaszek znalazł wieniec, ale nie oddał go właścicielowi. Zatrzymał dla siebie. Kiedy z kolei stołem sztywny zdjął z siebie skórzaną kamizelkę, utrudniała mu bowiem zdobywanie góry, i położył ją na ziemi, by chwilę odpocząć, pazerny wspólnik schował ją pod pazuchą swego obszernego ubrania. Ponury osobnik nie mógł się nadziwić, dlaczego znikła jego garderoba. W końcu dał za wygraną oraz dalej mozolnie wdrapywał się na szczyt góry.

Złodziejaszek szedł teraz przed siebie, trochę kulejąc, odziany w granatową kamizelę ze skóry, barwną koszulę, pstrokaty szalik i zielony wieniec na głowie. Nie miał maczugi. Nie postarał się nawet o solidny kij. Nie znał drogi ani tutejszych leśnych duktów. Bezwiednie zbliżał się w stronę ujścia Okalicy do Leby, tam, gdzie zatrzymali się mieszkańcy Białogardy.

Doszedł do miejsca, w którym dzisiaj znajduje się stacyjka kolejowa Lębork - Nowy Świat. Wtedy rosła tu gigantyczna puszcza. Stołem nie wiedział, że dotarł na obrzeże jej matecznika, ostoi największych, najbardziej dzikich, posiadających największy apetyt zwierząt. Osobnik, któremu wydawało się, że kradzione tuczy, cały obolały, zmęczony wydarzeniami dnia, przymusowym przelotem z Białogardy na torfowisko oraz twardym na nim lądowaniem, ułożył się wygodnie na ziemi i zasnął.

XVIII

Blisko matecznika puszczy najłatwiej jest zasadzić się na grubą zwierzynę. Młody mieszkaniec Białogardy, osiadły niedawno u podnóża Czartoryi, udał się na polowanie na niedźwiedzia. Był żądny przygód i zdecydowany urozmaicić swój codzienny jadłospis. Kiedy dowiedział się, że potężny zwierz grasuje w tych stronach, że właśnie opuścił matecznik i zbliża się do ludzkich siedlisk, przygotował się do trudnych i niebezpiecznych łowów.

Jako nęcisko użył padlinę. Szczęśliwym trafem sąsiadowi zdechła akurat stara, łaciata, schorowana krowa. Z pomocą kolegów dotarł na nieżywe stworzenie tam, gdzie obecnie, obok stacji kolejowej, znajduje się remiza strażacka. Trzeba było pokonać, jak powiedzieliśmy dzisiaj my, ze trzy kilometry drogi. Myśliwy pozostawił krowie szczątki w niedużej odległości od leśnych barci: jedno lub drugie z pewnością zaczęci puszczańskiego siłacza.

- Powinno się udać - rzekł do siebie.

Nie pomylił się. Niedźwiedź skusił się najpierw na miód, potem na wołowinę. Gdy zadowolony zaspokajał głód, kiedy przestał rozglądać się wokoło, a patrzył tylko na jedzenie,

odważny młody człowiek podparł go oszczepem. Wymagało to od niego siły i odwagi lwa. Drapieżnik próbował się bronić, uderzyć w myśliwego swymi mocnymi łapami z pazurami, odsunąć oszczep od siebie - wszystko na próżno. Uderzenie bronią myśliwską okazało się celne. Brunatny, masywny *ursus arctos* padł.

XIX

Co zrobić z ubitym niedźwiedziem? Jego mięso nie jest szczególnie smaczne, chociaż wartościowe: poprawia skład krwi, wzmacnia serce i naczynia krwionośne, wspomaga mięśnie, dostarcza witamin. Najlepiej, gdy miś nie zjada zbyt wiele padliny innych zwierząt i ryb, a raczy się obficie owocami, nasionami, grzybami, miodem, a nawet trawą. Jego tusza zawiera najwięcej cennych substancji jesienią. W okresie hibernacji zużywa je sam, a wtedy na wiosnę nie ma już ich w nim zbyt wiele.

O tych właściwościach wszystkożernego ssaka możemy rozprawiać my. Przed wiekami młodzieniec z pomorskiej puszczy nie znał dzisiejszej diety, mimo to o niedźwiedzim mięsie wiedział niemało. Nie należy spożywać go w dużych ilościach. Wątroba olbrzyma bywa niebezpieczna, dlatego trzeba być z nią szczególnie ostrożnym. Misiowe mięso jest twarde i wymaga obróbki, by skruszało. Sadło regeneruje i pomnaża ludzkie siły, ale nie wolno go używać za długo.

Na razie myśliwy postanowił obdrzeć zwierza ze skóry i zabrać ją do osady na dowód, że upolował kolosa. Tuszę zabezpieczył przed drobniejszymi zwierzętami, postanowił szybko po nią wrócić z kolegami. Cekał ich wysiłek większy niż wcześniej z padłą krową, miś był wyjątkowo ciężki. Dziarsko ruszył naprzód, ciesząc się z góry z uznania, jakie wzbudzi wśród sąsiadów i sąsiadek. Wesoło siedł przed siebie, gdy nagle spostrzegł i usłyszał śpiące i chrapiące czelakopodobne straszdyło.

Młody człowiek od razu zrozumiał, że napotkał stolema. Był on brudny, obłożony i obdarty. Widać na nim było resztki powłóczystej, dziurawej koszuli, szalik, który zamienił się w starganą życiem szmatkę, kamizelkę pełną otworów i szpar różnorodnej wielkości oraz spodnie składające się bardziej z dwóch wydłużonych worków niż z odpowiednio dopasowanych nogawek. Na głowie miał resztkę wieńca z liści i kłosów, już opadłych lub nadgniłych. Cieszył się snem i głośno charczał.

- Jak tyś się tutaj po tej potężnej wichurze dostał? - polujący zapytał sam siebie.

XX

Myśliwy narzucił na siebie niedźwiedzią skórę. Nie zakrywała całego ciała, trochę krępowała ruchy, ale nie była nadmiernie ciężka i nie utrudniała oddychania. Upodobał się

do atletycznego, leśnego drapieżnika. Wziął do ręki oszczep i czekał. Schowany w gęstych krzakach obserwował. I czekał.

Stolem długo się nie budził. Spał smacznie jak dobrze nakarmiony kotek lub piesek. Wreszcie powoli otworzył oczy, pokręcił głową w obie strony, wstał, przeciągnął się niedbale i ruszył przed siebie powoli wciągając nogami.

- Tym leśnym duktem dojdiesz do osady. Do moich ludzi. I będziesz tam, już rozespany, rozrabiać na całego - pomyślał łowca leśnej zwierzyny. - Niedoczekanie twoje.

Młody człowiek, zawsze spragniony doznań i przygód, nie przestraszył się ślamazarnego stwora. Postanowił działać. Wyskoczył na środek drogi, uniósł do góry okryte niedźwiedzią skórą ręce: jedną uzbrojoną w oszczep, drugą w znaleziony drągał. Stał na środku drogi, spojrzawszy gniewnie na stolema, wykazał gotowość do walki i zaryczał.

Udawał niedźwiedzia. Stolem, chociaż ciągle niedospany i osłabiony przez wiatr, jaki wczoraj dał z płuc Gòska, prędko dostrzegł przeciwnika. Zrozumiał, że zastąpił mu drogę. Próbował go więc przewrócić lub odpędzić. Poruszał się niezdarnie. Chociaż wyglądał groźnie, był bowiem wysoki niczym średnich rozmiarów świerk, jego ruchy były chaotyczne i niezborne. Nie wolno było ich jednak lekceważyć. Stolem dysponował potężną siłą.

Myśliwy zmieniał więc często położenie. Dąsał do olbrzyma i cofał się. Dźgał go oszczepem w stopy i łydki. Dopelniał ciosy uderzeniami drągiem. Nie oddawał pola. Walczył jak lew. Raził i ranił przeciwnika oszczepem. Osłabiał i spowalniał jego ruchy. Atakował. Unikał ciosów, jakie nieprzyjaciel próbował zadać mu na oślep. Uszczuplał siły silniejszego wroga. Ani razu nie dał się trafić. Pomimo tego nieskutecznie wymachujący rękami stolem ciągle pozostawał niebezpieczny.

Początkowo walka przypominała starcie człowieka współczesnego, ubranego w eleganckie spodnie i starannie wypastowane pantofle, z małym, agresywnym, upartym pieskiem, przekonanym o sile swych zębów i marność materiału, z którego uszyto spodnie. W takich zmaganiach teoretycznie słabszy może zadać silniejszemu poważne straty. Myśliwy o tym wiedział, dlatego walczył zawiązanie z nadzieją na zwycięstwo.

Z czasem zwarcie nabrało wymiaru pojedynku Goliata z Dawidem. Tym razem walczący w słusznej sprawie był pozbawiony broni zdolnej pokonać przeciwnika z dużej odległości. Zamiast procy mały wojownik posługiwał się oszczepem. Jest to jedna z najstarszych broni w rękach człowieka. Nie zamierzał nią miotać. Kłuł jedynie stopy i łydki grubiańskiego przeciwnika, który trafiany w nogi podskakiwał w górę i wydawał okrzyki bólu. Jego riposty nie trafiały celu, ale zmuszały oszczepnika do maksymalnej uwagi.

Nie wiadomo, czym wszystko by się skończyło, gdyby nie porażające, potężne wsparcie, jakie młody człowiek otrzymał nieoczekiwanie.

Powtarzające się, niemrawe okrzyki myśliwego, udające głos niedźwiedzia, zastąpił nagle jeden, długi, gigantyczny ryk. Zadrżała ziemia, przerwały śpiew ptaki, przestraszyli się ludzie. Niesamowity głos usłyszano daleko od obecnej stacji kolejowej Lębork - Nowy Świat. Dotarł do osady w widłach Leby i Okalicy, gdzie zapamiętano go bardzo dobrze na długi czas. W Białogardzie obudził nawet Gòska, który znudzony wachaniem kwiatów uciął sobie drzemkę. Nie on wydał z siebie ten nieoczekiwany, przenikliwy huk.

Ryk był potworny. Był to dźwięk piskliwy, niskiej wysokości, dudnienie głośności sięgającej ze stu trzydziestu decybeli, większe niż znany nam dzisiaj odgłos przelatującego blisko samolotu. Barwę dźwięku specjalista z naszych czasów opisywałby z największym trudem. Wszystko było zaskakujące i niezwykle. Ten przeszywający, przejmujący jazgot trwał pełne pół minuty.

Stolem przestraszył się nie na żarty. Błyskawicznie wykrzesał z siebie mnóstwo energii i rozpoczął szybką ucieczkę. Byle do przodu. Byle dalej. Byle gdzieś uciec.

Myśliwy przykrył uszy niedźwiedzią skórą i przetrzymał trudny do zniesienia hałas. Kiedy opuścił ręce, osiłka już nie było.

Kto pomógł odważnemu kawalerowi? Kto narobił wrzasku i odpędził zagubionego stolema? Długi czas zastanawiano się nad tym w osadzie u stóp Czartoryi. Większość ludzi twierdziła, że był to głos lwa. Myśliwy nie był tego pewny. Po ciągnących się bez końca debatach uznano, że odezwał się królewski lew, aczkolwiek ani wcześniej, ani później, nikt takiego zwierzęcia w miejscowych lasach nie widział.

Po wiekach postanowiono umieścić w herbie Lęborka *panthera leo*, afrykańskiego, ogromniastego kota, władcę wszystkich zwierząt tego świata. Uznano, że to on zakończył walkę ze stolemami o wolność i spokój tutejszej ziemi. O tym, że w herbie miasta znalazł się lew, a nie obecny z całą pewnością podczas historycznego zdarzenia niedźwiedź, zaważyło również to, że imię odważnego łowcy zwierząt zaczynało się na literę L. Jakże konkretnie ono było, nie zapamiętał nikt.

XXII

Do uwolnionej od najeźdźców Białogardy powróciła część dawnych mieszkańców. Wielu postanowiło pozostać na równinie, w miejscu spotkania się ze sobą dwóch rzek: szerszej i węższej, wolniejszej i szybszej, bardziej malowniczej i bardziej bystrej. Nowa osada, niedługo później nazywana Lewinem, a jeszcze potem Lęborkiem, szybko przerosła starą Białogardę i stała się stolicą cudownej krainy sięgającej wód Bałtyku. Powoli, nawet bardzo powoli, ale systematycznie, Lębork przestawał być drewniany i wiejski, a stał się murowany i miejski.

Stolemy w tej okolicy już się nie pojawiały. Osiadły na stałe w rejonie Jeziora Żarnowieckiego, gdzie można spotkać je dzisiaj, ale tylko jako śmieszne, drewniane, atrakcyjne dla turystów plenerowe figury.

Długi czas mieszkańcy okolic Żarnowca nie wiedzieli, jak wykorzystać roślących, przymusowych sąsiadów. Najpierw próbowano nauczyć wielkoludy haftowania. Szybko jednak tego zaniechano i poproszono, by zajęły się tym siostry zakonne z Żarnowca. Miały one zupełnie inne niż ogromności, drętwi siłacze - ręce, palce, delikatność i cierpliwość.

Podjęto też produkcję kielbasy. Z tym osiadli, dawniej niesforni wojownicy radzili sobie znacznie lepiej. Mięso wieprzowe peklowano, następnie mielono, częściowo rozdrabniano, dodawano przyprawy i wypełniano nim jelita. Po pewnym czasie tę doskonałą kielbasę zaczęli wytwarzać miejscowi gospodarze. Owoc trudu początkowo niezdarnych stolemów jest dzisiaj sławnym, poszukiwanym produktem regionalnym: kielbasą choćewską. W końcu stolemy zajęli się pszczelarstwem. Dobry, zdrowy miód kupowano od nich chętnie. Ich ręce i palce wykazywały znaczną odporność na żądła pracowitych owadów.

Naniesione przez stolemy wielkie głązy, które miały zastraszyć mieszkańców Białogardy, pozostały na swych miejscach. Wielu turystów zachodzi w głowę, jak mogły tutaj trafić, i słusznie nie daje wiary wyjaśnieniu, że spowodował to lodowiec. Ludzie ci nie wiedzą jednak, jak niezwykle zdarzenia miały miejsce krótko po pojawieniu się głązów w tych okolicach.

Kaszubi, często kontaktujący się z oswojonymi już stolemami, postanowili na wszelki wypadek regularnie zażywać tabakę. Powoduje ona kichanie, a to przypomina wiatr, jaki na szczycie białogardzkiego wzniesienia wykrzesał z siebie w chwili grozy Gòsk. Niech więc dalej Kaszub doświadcza przyjemności, a stolem pamięta, że istnieją osobnicy dużo od niego silniejsi.

XXIII

Gòsk postanowił powrócić do swego podmorskiego pałacu. Zatęsknił do wodnej głębin, do wypełniających ją skorupiaków, mięczaków i jamochłonów, do roślin naczyniowych, zielenic, brunatnic i krasnorostów, oraz do ryb, a zwłaszcza dorszy z Ławicy Słupskiej. Kto raz poznał podwodny świat, zetknął się z majestatem Posejdona lub ze splendorem Juraty, Sediny i Njörda, zrozumie wybór pana południowego Bałtyku.

Mieszkańcy Białogardy, którzy wrócili do domów, chcieli, by Gòsk pozostał z nimi dłużej. Otrzymał też zaproszenie odwiedzić powstającą osadę, która w przyszłości przerodziła się w Lębork. Wszyscy powtarzali, że jest to również jego kraina, że musi ją lepiej poznać i że nigdy nie będzie w niej zapomniany.

Po kilku tygodniach z miejsca, gdzie rozległ się donośny ryk lwa, a może niedźwiedzia, gdzie odważny młodzian przegonił intruza, Gòsk rozpoczął podróż na południe. Odwiedził

bogate w grzyby Lasy Mirachowskie, zobaczył jezioro Lubogoszcz, którego krwistobrunatnymi wodami nie mógł się nadziwić, dotarł do bagiennych borów zwanych Kurzymi Grzędami i wypatrywał tam lęgowiska głuszców. Wszędzie sadił na pamiątkę dęby. Mówią, że wiekowy, wyjątkowo stary, ale ciągle zdrowy dąb „Świętopełk”, jaki rośnie opodal Krępkowic, wyrósł z żołędzi przez niego wybranych.

Na koniec ruszył na północ w towarzystwie kilku osób dbających o jego potrzeby podczas podróży. Nie musiał dźwigać worka z bardzo smakującymi mu marchewkami, ogórkami i bobem. Zatrzymał się na brzegu jeziora Łebsko, w królestwie kaczek, mew, batalionów, bekasów, kulików i biegusów, a nawet bielików i orłów przednich.

Wreszcie dotarł na Rowokół, wzgórze położone niedaleko morza. Za sąsiadów ma ono jeziora Łebsko i Gardno. Rozciąga się z niego widok na krainę rzeki Łeby wiele, wiele kilometrów w głąb lądu. Pogoda była akurat znakomita, słoneczna, niebo wolne od chmur. Gòsk spoglądał to na błękitny, spokojny tego dnia Bałtyk, to na piaszczyste, ruchome wydmy obok Łebska, które wydały mu się być polem bursztynu, to na jezioro Gardno z leżącą w jego środku ostoją kormoranów na Kamiennej Wyspie, to na sosnowy, bukowy, świerkowy i jodłowy las, i dalej na pola uprawne, łąki i pastwiska, wypatrując najbardziej wzniesienia Czartoryja, na którym zamieszkał dzielny oszczepnik walczący z niedźwiedziem i stolemem.

- Będziemy o to tobie, Gòsku, zawsze pamiętać - powiedział jeden z uczestników pożegnania. - Zostaw nam coś więcej niż tylko wspomnienie.

- No dobrze, ale co takiego? - odparł Gòsk. - Co ja mogę wam zostawić? Pamiętajcie, że gdyby było wam bardzo źle, mieszkam na wschód od Ławicy Słupskiej. Tam jest mój podwodny dwór. Czasem wypływam na powierzchnię i dmucham. Kiedy spotkaliśmy się, powiedzieliście, że wam to przeszkadza. Nie będę już więc kierować silnych wiatrów w waszą stronę bez potrzeby.

- Gòsku, zapamiętaj. To jest także twoja ziemia.

- Moja powiadacie - rzekł z namysłem i pokiwał głową. - Może potrzebuje ona nazwy? Może chcecie, by była Błękitną Krainą?

- Dlaczego Błękitną? - zapytała jedyna w tym gronie dziewczyna.

- Mój pałac pod wodą jest żółty. Jak bursztyn. Pałac Posejdona, mojego wychowawcy z Morza Śródziemnego, jest błękitny. Mówicie, że to również moja ziemia. Niech więc będzie Błękitną Krainą, w kolorze pałacu, jaki pamiętam z młodych lat.

I właśnie tak pozostało do dzisiaj.

II miejsce: Tadeusz Charmuszko

LEGENDA O ZAMKU W ŁĘBORKU

Dawno temu, bardzo dawno, gdyż rzecz cała miejsce w XIV wieku miała, kiedy prężnie rozwijający się nad rzeką Łebą Łębork potrzebował do sprawnego zarządzania wójta, zaś wybrany niebawem na owe stanowisko Dytrych von Loupheim potrzebował solidnego, okazałego zamku. Pilnie zatem rozglądano się za stosowną lokalizacją tak reprezentacyjnej siedziby.

Pętla rzeki Łeby z dobiegającą do niej w tym miejscu rzeką Okalicą wydawała się na pierwszy i kolejne rzuty oka miejscem wręcz wymarzoną. Toteż niezwłocznie przystąpiono do realizacji pomysłu. Jednak zakole Łeby okazało się zupełnie nieprzydatne na tak wielkie przedsięwzięcie. Zgromadzony w wielkim trudzie budulec zapadał się bowiem w grząskim terenie bez najmniejszego śladu, jakby to była beczka Danaid, a nie teren pod budowę zamku przeznaczony. Znajomi wójta życzliwie doradzali mu, że o wiele stosowniej będzie wzniesić zamek na wzgórzu po drugiej stronie rzeki Łeby, gdyż tam grunt pewny i widoczność lepsza. Tymczasem wójt jak na złość, z przyczyn zupełnie niezrozumiałych, upierał się przy swoim wyborze lokalizacji. Sprowadził nawet do dźwigania głazów potężnych atletów z Gniewina, co się stołami zwali. Ci chętnie i tłumnie przybyli na wezwanie, ale w głowach pstro mieli i myśleli jedynie o rozrywkach. Zaraz urządzili sobie wielką zabawę i zamiast znosić ciężkie kamienie na budowę, rzucali się nimi, jakby grali piłką w dwa ognie, aż nawzajem wytlukli się do ostatniego, zaś budowa nie ruszyła choćby o milimetr. Trzeba było szukać innego rozwiązania.

Wójt siedział w prowizorycznej izbie, wzniesionej na czas budowy z drewnianych bali i rwał sobie włosy z brody. Noc ciemna dawno zapadła, a on myślał i myślał, i nic mądrego nie przychodziło mu do głowy, choć głowę miał nie od parady. Wyglądało zupełnie jasno, że jego pomysł spalił na panewce. Niech diabli porwą pomysł z budową zamku nad Łebą, pomyślał na koniec z goryczą i z bezsilności uderzył pięścią w pień, który służył za stół. Nie musiał długo czekać po takim apelu. Niemal natychmiast zjawił się Lucyfer w eleganckim fraku i skłonił się usłużnie nisko od wejścia. Ledwo wójt przytomnie zdołał zasłonić sobą biały płaszcz z czarnymi krzyżami, wiszący na jelenim rogu. Krok wójta był całkowicie zrozumiały. Wiadomo bowiem nie od wczoraj, że diabły za krzyżem raczej nie przepadają, choćby był na krzyżackim płaszczu. Bies tymczasem zaproponował, że za duszę wójta grunt pod zamek utwardzony będzie jak należy. Wójt pomyślał, że co mu po duszy, jak nie ma zamku w swoich dobrach. Przystał zatem na diabelską propozycję, choć krzyżackim obyczajem nie zamierzał wywiązać się z ugody.

Całą noc furkotało i kamień zgrzytał o kamień, jakby skalna lawina przez Łębork się przewalała. Rano wójt wyszedł z baraku i zobaczył, że fundamenty pod budowę zamku przygotowane są doskonale. Założył więc biały płaszcz z czarnymi krzyżami po bokach, żeby inspekcja terenu wyglądała dostojniej. Natomiast do boku przypasał miecz, którego rękojeść także w kształcie krzyża była.

Na ten widok diabłów niosących ostatnie głazy ogarnęła wściekłość. Lucyfer chciał nawet zmienić bieg Łeby, żeby Łębork ominęła. Niesionym głazem cisnął z ogromną siłą, ale na szczęście chybił. Głaz wrył jedynie w grząskim gruncie równolegle do Łeby lej głęboki oraz długi na 2,5 kilometra. Dokładnie w tym miejscu, gdzie obecnie jest piękne Jezioro Lubowidzkie na 15 metrów głębokie. Potem ów głaz rykoszetem przeleciał nad Łęborkiem, żeby ostatecznie utkwąć w pobliżu Maszewa Łęborskiego. Dotąd też miejscowi zwą go Diabelskim Kamieniem. Eratyk ma czerwone zabarwienie, gdyż Lucyfer przy okazji dwa tury nim rozkwasił. Inne diabły poszły za przykładem swojego zwierzchnika i również w gniewie porzuciły taszczone głazy, które możemy oglądać w Łęborku okolicy. Któryś z czartów cisnął niesionym głazem w Łebskie Bagno, aż wszystkie żaby z niego powpadały do Łęborka. Na pamiątkę tego niefortunnego zdarzenia jest fontanna z żabkami. Inny bies dla odmiany tak

mocno ściskał z rozpaczy porzucone kamienie, że powstały Karwickie Źródłiska. Miejsce jest obecnie rezerwatem, bo kto wie, jakie licho tam jeszcze siedzi.

Najważniejsze jednak, że teren w zakolu Łeby został porządnie utwardzony, były przygotowane solidne podwaliny i wójt mógł wreszcie zbudować okazały zamek, w którym zamieszkał i długie lata rządził Lęborkiem.

Dzisiaj możemy podziwiać, co z dawnej świetności zamku zostało, byle nie jako oskarżeni na sali sądowej.

III miejsce: Karolina Wolska

Legenda o ukształtowaniu wydm

Nad Bałtyckimi ziemiami lata temu władzę sprawował pewien książę. Na imię mu było Leon, co oznacza silny i odważny jak lew. Imię to jednak nie pasowało do właściciela, ponieważ był to raczej chudziutki i strachliwy człowieczek, ale o niezwykle wielkiej wyobraźni. Nosił ze sobą zawsze worek marzeń. Jego wyobraźnia została wybudzona i rozwijana przez babkę, która codziennie nawijała mu na uszy różne opowieści, które były rzekomo wspomnieniami ze jej dzieciństwa. Dla każdej innej osoby wydawały się farmazonami osoby o niezdrowym umyśle. Nawet młodszy brat królewicza Stilo nie uważał żeby to co ona wygadawała było prawdą. Każda powiastka brzmiała jak wyssana z palca. Tylko on i słuchał, wierzył jej w każde słowo i marzył żeby w jego wypadku te dziwy również się spełniły.

W lesie nieopodal zamku, mieszkwały podobno małe istoty, które potrafiły latać i spełniać marzenia wszelkiej wagi. Rośliny potrafiły mówić w ludzkim języku i wydawać owoce, które zaspokoili by każda potrzebę ludzką. Babcia obiecała mu, że gdy skończy 12 lat pokaże mu jak dostać się do tego pięknego miejsca.

Leon nie mógł się doczekać dnia dwunastych urodzin, lecz ku wielkiej rozpaczy staruszka zachorowała i umarła przedwcześnie. Na łożu śmierci zdążyła tylko wyjawić księciu, że odpowiedzi znajdzie wśród księgozbioru.

Już jako mały szkrab zaczął wyszukiwać jakiegoś potwierdzenia cudów o których opowiadała mu babka. Chodził do lasu, zaglądał do każdej dziupli, mówił do każdego kwiatka, drzewa, czy innej rośliny. Pragnął całym sercem ujrzeć to wszystko na własne oczy.

Gdy już dorastał na młodego władcę jego powinnością było dokształcanie się w bibliotece, poprzez czytanie pradawnych dziejów swego rodu i ziem na których rządzą i zasad dobrego królowania. On w tym czasie wolał przyglądać się wszystkim zakamarkom tego pomieszczenia. Szukał czegokolwiek co wydawało by się być magiczne. Dopatrywał się tajemniczych przejść, każdego niezwykle ułożenia przedmiotów, z zaciekawieniem oglądał obrazy i kinkiety wiszące na ścianach, przeglądał wszystkie książki od deski do deski wyszukując czegokolwiek co choć trochę owiewało tajemnicą. Nie robił tego ma marne, ponieważ pomiędzy wszystkimi książkami o nudnym uzbrojeniu

rycerzy znalazł książkę, która mimo dosyć zwykłego wyglądu, kryła w sobie wiele tajemnic. Nie było widać ich na goły rzut oka. Książę musiał się mocno wysilić aby odczytać ukryte w książce polecenia, które studiował latami.

Po jakimś czasie znalazł w niej również mapę, która wyglądała jak każda inna mapa w zamku, ale gdy spojrzał na nią pod światłem księżyca wpadającego przez małe okno biblioteki, zauważył szlak prowadzący do miejsca którego przed chwilą nie było widać na mapie.

Udał się, więc w miejsce wskazane na mapie. Zaczął się rozglądać, ale wszystko wydawało mu się takie same jak wszędzie. Gdy już chciał wracać do zamkowej komnaty, aby oddać się w objęcia Morfeusza, usłyszał jakby cichy wrzask dochodzący spod jego stóp.

- Aaaa. Uważaj na mnie!- Spojrzał w dół i zauważył tam tylko młode drzewko. Schylił się aby dojrzeć więcej.

-Kim jesteś? – Znowu usłyszał ten głos, ale dalej nie mógł ustalić skąd on się wydobywa.

-Kto tu jest? – Wrzasnął Leon z niepokojem obserwując okolice.

-Jestem Bażyn. – Książę w tamtej chwili dobrze wiedział skąd wydobywa się głos. Przypomniawsobie o drzewach, które potrafią mówić. Przeczytał o nich niecałe dwa tygodnie temu.

- A więc to wszystko prawda! Nie postradałem zmysłów!

Bo długiej rozmowie z Bażynem, książę już był całkowicie pewien, że przez wszystkie lata nie był w błędzie. Drzewo powiedziało mu, żeby lepiej zatrzymał wszystko dla siebie i nie chwalił się nawet rodzinie o tym co przeżył. Również został zaproszony, na pełnię księżyca, która wypadła dwa dni po spotkaniu. Tego dnia wszystkie stworzenia miały przygotować niespodziankę dla nowego gościa. Niespodzianką okazał się wodny taniec wróżek, z którego czerpały moc do spełniania życzeń.

Przez wiele następnych lat odwiedzał te tajemnicze miejsce, doglądał cudów natury i rozmawiał

ze stworzeniami. Zaprzyjaźnił się z drzewkiem Bażynem, który rósł razem z nim przez wszystkie lata. Wokół niego zaczęło pojawiać się coraz więcej drzew. Lecz żadne z nich nie potrafiło mówić. Nadszedł dzień przejścia władzy przez Leona. Przyglądając się zamkowi przez lata, zauważył, że nie jest on taki jaki by chciał, aby był. A że był w tym czasie kryzys, brakowało materiałów i rąk do budowy, aby powstał jakikolwiek budynek. Wróżki miały dla niego propozycję.

-Stworzymy tobie pałac niezwykły. Będzie on wielki i będzie się prezentował niesamowicie. Ale stworzymy go z samego piasku.

- Jak to? Przecież taki zamek nie ustanie nawet godziny przy tych wiatrach.

-Będzie to magiczny zamek, obiecujemy ci, że będzie stać wiele lat, a wszyscy władcy z każdej krainy, gdy tylko dowiedzą się o tym cudzie, przyjadą tu aby go podziwiać. Ale mamy jeden warunek. Na tronie możesz zasiadać tylko ty i twoja linia rodu. Inaczej gmach zmieni się w ruinę.-Leon przystał na ten warunek.

Wróżki oczekiwały teraz na pełnię księżyca, żeby móc dotrzymać obietnicy. Gdy to już się stało, nikt nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bo jak zamek tak wielki mógł powstać w jedną noc.

Wszyscy wypytywali się o to króla Leona, lecz on nie mógł powiedzieć ani słowa o tym jak tego dokonał. Nie chciał bowiem skończyć jak skończyła jego babcia, jako wariat.

Z roku na rok, w stronach nadmorskich pojawiało się coraz więcej władców, szlachciców. Chcąc dowiedzieć się więcej o cudzie, próbowali zdobyć przychylność Króla, proponując swe córki. On zaś odmawiał jednej po drugiej, wołał więcej czasu spędzać wśród magicznych przyjaciół.

Wszyscy poddani sprzeciwiali się marzycielskiemu władcy i domagali się aby jego bardziej stanowczy brat objął tron. Leon wiedząc, że nie może pozwolić na to aby jego brat objął władzę, kazał mieszczanom wybudować z pozostałości po starym zamku wieżę dla brata. Musiał go oddalić, ponieważ wiedział, że nie może pozwolić na to aby ktoś inny przejął władzę. Była by to ogromna strata dla niego i całego królestwa.

Pamiętał też, że powinien mieć dziedzica, żeby utrzymać zamek w ryzach. Obiecał sobie, że kolejnemu władcy, który pojawi się u niego z propozycją oddania swej córki nie odmówi.

Parę dni później pojawił się władca z górzystej krainy. Zgodnie z swoim postanowieniem Leon wziął jego córkę Klarę za żonę. Po jakimś czasie pojawił się pierwszy dziedzic. Klara była zachwycona zamkiem, nie mogła pohamować zachwyty i ciekawości. Wiele razy pytała swojego męża jaki jest jego sekret, lecz on nikt nie chciał go wyjawić. Cały czas powtarzał tylko, że tylko przy jego panowaniu, zamek zostanie w swoim stanie.

Jedyną osobą, której mógł wyjawić sekret to jego syn, który był jeszcze niemowlakiem. Leon czekał, aż jego syn będzie na tyle dorosły, że będzie mógł wyjawić mu tajemnice utrzymania zamku.

Stilo zamknięty w wieży, mimo luksusów księcia, ciągle chciał więcej. Z zazdrością wyglądał przez okno. Z oddali widział zamek jego brata i jego jedynym marzeniem było zniszczenie całego dobytku. Dowiedział się od służby która podsłuchiwała rozmowę króla z jego żoną, że gdy nieprawowita osoba zajmie jego miejsce, król straci swą moc.

Przebiegły Stilo wymyślił plan wygnania swojego brata. Rozpowiedział, że Leon jest szalony tak jak ich babka. Nikt nie chciał mieć za króla głupca.

Mimo sprzeciwów poddanych, uparty Leon nie oddał swego panowania bratu.

Przez wiele lat Stilo wymyślał plan obalenia brata. Jego przyjaciel śledził króla Leona, gdy udawał się do swoich leśnych przyjaciół. Poznał położenie magicznego lasu. Pognał z tym to księcia zamkniętego w wieży. Stilo rozkazał mu porwać parę wrózek i zagrozić królowi ich śmiercią.

Władcy bowiem najbardziej na świecie zależało na tych stworzeniach, które w trudnych czasach były jego rodziną. Postanowił, więc oddać władzę swojemu bratu i zamieszkać wśród leśnych wrózek. Przekazał poddanym, że zamieszka teraz w Borze Bażyna z żoną i synem.

Z dniem opuszczenia zamku przez Leona rozsypał się on na miliardy małych ziarenek piasku.

Król ze łzami w oczach obserwował jak cała jego kraina pokrywa się wielką warstwą piachu.

Wróżki jednak piach ten ukształtowały w piękne wzgórza. Nazwano je wydmami.

Brat, który miał przejąć władzę po Leonie, pogrążony żalem uciekł z powrotem do swojej wieży w której pozostał do końca życia. Wieża służy do dziś jako latarnia i nosi imię Stilo. Las w którym ukrył się Leon z Klarą i synem, na część przyjaciela króla, określa się jako Bór

Bażynowy. Podobno do dziś wczasowicze przyznają jakby jedno drzewo wypowiadało do nich cichutkie słowa.

Wyróżnienie: Arkadiusz Stosur

Zapomniana historia by Dr Pietraszak

Dawno temu na Kaszubach zadomowiły się czarowniki...

...Calëchnô nagô, z winôszkem z kwiatów na głowie, wierzchùje na rãdim szëmlu, òbjeżdżô pòla i łączy i dze le wezdrzi – tam wszëtkò rosce w òczach. Pólnica ma niezwykłą siłę oddziaływania: Chto chòcy le rôz Pólnicã ùzdrzôł, ten je ùrzekłi i czecznieje z nieszczestlëwi lubòtë. Innym żeńskim demonem, także aktywnym latem, jest Òprzipólnica. Według kaszubskich wierzeń jest snôżą panną w bielëchnëch ruchnach, z winôszkem na głowie, która bûdzy żniwników z òprzipôłniowégò spikù i zaprôszô do żniwnëch robôtów.

Bogaty jest również świat duchów wodnych, gdzie króluja takie piękne postacie jak pMùmôcz (mëri duch wòdny, sprôwca topielców), Nëczk (sprôwca niewezpiecznëch wòdnëch krãcëszków), Pòpławnik (mëri duch trzãsawisk, sapów, bażelnic i dãplów), Szôlińc (mëri duch pòdbieżannégò wòdowiszcza, przëcińca szôlonëch mòrzczich wiejów), Topielëca (sprôwca ùtoniãcégò), czy Mòrzëca (mòrzko panna).

To wszyscy wiemy, boi każdy takiego czarownika wcześniej czy później spotkał. Ale, ale... od paru miesięcy w okolicach Lęborka widziano dawno niespotykanego tutaj Szôlińca. Według dawnych wierzeń ten demon ten ukrywa się w niedostępnej krainie wiecznych mrozów. Przebywając prawie zawsze w lodowych ciemnych grotach. Nawet był widywany na biegunie północnym.

Kiedyś potrafił wypływać na powierzchnię morza. Wtedy szybko zaczynał się olbrzymi sztorm. Dusze rybaków, którzy zginą w czasie sztormu, przemieniały się w mewy, rybitwy albo cudownie białe albatrosy unosząc się ponad falami. Szôlińc to typowy diabeł morski. A ofiary jego działalności na morzu nazywano mianem mòrzkülców. Gdy wzburzone morze wdiera się w wysokie strome skarpy klifowego brzegu i powoduje obrywanie się skał, to jakby Szalińc powstrzymywał ich przed ucieczką na ląd. A kiedy przed nastaniem nocy świętojańskiej zdarza się, że ktoś zażywa kąpieli morskiej, wróży mu to niebezpieczeństwo. Szôlińc to taki nasz kaszubski odpowiednik greckiego boga mórz Posejdona oraz rzymskiego Neptuna.

Pewnego dnia Szôlińc wybrał się zatem do Lęborka porzucając morskie głębiny, solne groty i bezkresne błękitne otchłanie. Wszedł na wieżę ciśnień i tam się spodobało. Wkrótce dołączyła do niego Mòrzëca półsyrena-ćwierćmeduza-ćwierćkobieta. Dodam tylko, że była niezwykłą pięknoscią nocy, która za dnia ukrywała się, a czarownym głosem przywoływała mieszkańców tuż przed północą. Kaszubskie syreny mają złote włosy, naszyjnik z bursztynu, wianek z kwiatów na głowie i pięknie śpiewają, jak to powszechnie wiadomo. Szôlińc szybko został szanowanym obywatelem, na wieży założył dobrze prosperującą restaurację. Lecz pewnego wrześniowego dnia, w czasie ogromnego sztormu, gdy morze garściami wyrzucało bursztyny, a syreny zasłaniały uszy od szumu fal przegrał wszystko co miał w karty z Klabaternikiem. To był opiekun ludzi morza, który na Kaszuby przywędrował razem z marynarzami i rybakami. Niektórzy mówili, że to emanacja duszyczki małego dziecka, które na świat przyszło martwe, a może zmarło jeszcze, zanim zdołano je ochrzcić. W każdym razie Szôlińc razem z Mòrzëcą zapadli się pod ziemię. Żyją spokojnie w przepastnych czeluściach wodociągów miasta, pilnując aby woda w Lęborku była krystalicznie czysta i smaczna. Od czasu jedynie dla zabawy pojawiają się w okolicznych studniach płosząc miejscowych wodników, którzy swym upiornym wyglądem niszczą spokój Miasta biegająca pół-nago w podartych pidżamach w okolicach ratusza.

Jak to zanotował kronikarz:

Na zakończenie zaś słówko jeszcze o ludzie, zamieszkującym te okolice. Lud to pocziwy, łagodny, nabożny; tak dobry charakter ogółu rzadko w świecie daje się spotkać. Kaszubi mienia swego nie zamykają pod kluczem, a jednak nie słyszą tam o wypadkach kradzieży.

Bo tutaj, w małej ojczyźnie każdy znajdzie swoje miejsce. Jak mawiał poeta /nietutejszy/:
W małej ojczyźnie jest najlepiej

*jak wiadomo W małej ojczyźnie
wszyscy się znają Mówią tym
samym językiem Są wykuci z żelaza
wyrobeni z lipowego drewna wprawna
ręką mistrza Mieszkają w domach
z pejzażem kwiatem w rajskich ogrodach
uśmiechem witają świat
błogosławią ziemię która daje dobre owoce
Są szczęśliwi pierwszym szczęściem
znają się wszyscy po imieniu
wyprowadzają psy o świcie budzą
dzieci i idą z nimi do szkoły
Pracują w ogrodach żyją spokojnie
mieszkają w małych domach sadza kwiaty i warzywa
raz w tygodniu odwiedzają cmentarz gdzie groby zarośnięte mchem czuwają...*

Wyróżnienie: Leszek Wołoszuk

Legenda Starej Łeby, którą pochłonął Bałtyk

W czasach panowania na Pomorzu, Rodu Gryfitów.

Rybaczy zbudowali starą Łebę Zamieszkali w niej Kaszubi, Słowińcy z terenów Jezior Gardno i Łebsko. Pracowity, zaradny lud. Wybudowali, drewniane strzechy kryte trzcina.

Zbudowali port dla łodzi rybackich i żeglarzy.

Proboszcz parafii Starej Łeby wspierał duchowo osadników. Błogosławił rodziny rybaków, życząc bezpiecznych powrotów do portu, zbudowanego przy ujściu rzeki Łeby. Od 1309 roku zakon krzyżacki na podległych sobie ziemiach Pomorza. Wprowadza swoją władzę w Starej Łebie. Podejmują decyzje budowy kościoła pw. Świętego Mikołaja, patrona rybaków i żeglarzy. Wzmacniają brzegi morskie Falochronami. Sztormowe fale często podmywały wydmy i nadbrzeżny las. Krzyżacy wiedzieli jak silna jest natura, potrafi zniszczyć wszystko w przestrzeni. Mieszkańcy miasta Kaszubi, mimo zagrożeń żywiołu zakładali następne rodziny Nawiązują sąsiedzkie przyjaźnie, wspólnie uczestniczą w turniejach i festynach. Rybaczy uczyli nowe pokolenia połowu ryb, pokory do siły natury morza Bałtyk Kaszubi złowione ryby sprzedawali na targach w Lauenburg. Nawiązują współpracę z mieszkańcami miasta Lauenburg. Zapraszają do Łeby na uroczyste degustacje dorsza Pomuchel.

Zakon krzyżacki przychylnie odnosił się do działań łebian. Warownia zakonu krzyżackiego mieściła się w zamku w Lauenburg. Lud kaszubski pielęgnował tradycje ludowe, na powitanie lata organizowali sobótki - plenerowe widowiska na brzegu morza. Na weselach grały regionalne kapele, atrakcją wesela były oczepiny. Tradycje sprzyjały w nawiązywaniu kontaktów z pokoleniami Łebian. Seniorzy rybacy opowiadali o zagrożeniach siły natury. Na początku stycznia 1558 roku były wyjątkowo wietrzne i zimne. Sztorm z każdym dniem przybierał na sile. Apogeum nastąpiło 11 stycznia, ogromne fale wdarły się w głąb plaży, niszcząc wydmy oraz wszystko co napotkały na drodze Huragan wyrwał drzewa i demolował domy. Przestraszeni mieszkańcy Starej Łeby, schronili się w kościele pw. Świętego Mikołaja. Dzięki opatrności Bożej wszyscy ocalili. Po wyjściu ze świątyni ujrzeli gotujące morze, pozostawiło po sobie tony piasku, który zasypał większość zabudowań i pól, huragan zmienił

koryto rzeki Łeby, płynęła około dwa kilometry na zachód od poprzedniej lokalizacji.

W tej sytuacji część mieszkańców powiedziała dość i postanowiło opuścić miasto. Natomiast pozostali postanowili zostać i odbudować starą Łebę. Pracowali w niezwykle trudnych warunkach, gdyż natura również nie zamierzała się poddać. Gdy już wydawać się mogło że najgorsze mają za sobą. Nadszedł marzec 1570 roku. Dramat sprzed 12 lat powrócił. Znowu silny wiatr ogromne fale i dobrze znany finał. To co z takim móżdżem udało się odbudować, znowu przykryło morze i następne masy piasku. Wtedy pozostali mieszkańcy ostateczni musieli uznać przewagę siły natury, poddali się. Zapadła decyzja, postanowiono starą Łebę przenieść dwa kilometry w głąb lądu. W miejscu w którym znajdowała się stara Łeba z czasem mogły świadczyć już tylko pozostałości po domach oraz kościół, Świętego Mikołaja. Niestety czas i nieustanne sztormy połączone z zasypywaniem piasku, z czasem zakopały resztki zabudowań. Pozostała tylko jedna ściana kościoła św. Mikołaja. W czasach współczesnych archeolodzy odkryły część fundamentów kościoła.

Zapraszamy turystów do miasta Łeby na poznanie historii miasta.